

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

DNIA 24 lipca 1944 Niemcy uciekli z Lukowa i Tuchowicza. Przeszła u nas istnieć Generalna Gubernia, trwająca 4 lata i 6 miesięcy. Dwa dni później, 26 lipca wkroczyły na te tereny wojska radzieckie. Otworzył się nowy rozdział naszej historii.

W Tuchowiczu znajdowała się wtedy moja matka, żona z dzieckiem, siostra, no i ja. Brat Kazik był wtedy w Warszawie, a Tosiek w partyzanckim oddziale AK działającym w okolicy. Ja należałem także do AK, prowadząc od dawna konspiracyjne magazyny zaopatrzenia dla oddziału.

Rosjanie wkroczywszy do Tuchowicza byli zaskoczeni faktem, że jako jedyni właściciele ziemscy pozostaliśmy na miejscu. Wszyscy nasi sąsiedzi — z Ryżek, Jeleńca, Sarnowa, Kujaw i Burca opuścili swe majątki zabierając co się dało.

Liczyliśmy z matką na to, że utrzymywanie poprawnych a nawet serdecznych stosunków ze wsią i służbą folwarczną od najdawniejszych czasów, od pradziada, dziada i ojca, zapewni nam całkowite bezpieczeństwo. I nie omyliliśmy się w naszej decyzji, bo z władzami radzieckimi nawiązaliśmy... bardzo poprawne stosunki. Rów-

nież i nowo zorganizowane polskie władze powiatowe w ramach PKWN ustosunkowały się do nas pozytywnie, czego dowodem było powierzenie mi, jako specjalistcie rolnikowi, tymczasowej administracji najbliższej położonego majątku Ryżki.

Władzom powiatowym chodziło o to, aby zabezpieczyć pozostawione przez właścicieli mienie, przeprowadzić omłoty zbóż złożonych w stodołach i stertach oraz wykonać uprawy i zasiewy jesienne. 28 sierpnia objąłem oficjalnie Ryżki, powierzwszy nadzór nad Tuchowiczem matce i zaufanemu karbowemu.

Wywiązanie się z powierzonych mi zadań w Ryżkach było bardzo trudne. Brakowało głównie siły pociągowej, bo część koni została rozgrabiona, a nieustabilizowana jeszcze sytuacja w kraju powodowała, że służba folwarczna nie przykładła się do pracy. Tym niemniej rozkręcałem robotę. Między innymi przy pomocy wojsk radzieckich, od których otrzymałem paliwo, udało się uruchomić ciągnik (Lanz Buldog 45 KM). Dość sprawnie prowadziłem orki, nawożenie i młóckę zbóż.

Opisać tu muszę dość komiczną, ale mogącą się skończyć także tragicznie historię. W Ryżkach, obok majątku, z racji bardzo korzystnie i płasko położonych pól, na powierzchni około 20 ha wojska rosyjskie urządziły lotnisko wojskowe, skąd codziennie startowały i lądowały samoloty bojowe. Zdarzyło się, że kilka stert ze zbożem znalazło się w zasięgu obszaru strzeżonego przez wojsko lotniska. Zwróciłem się zatem do dowódcy jednostki (majora Żukowa), aby określonego dnia zezwolił na podprowadzenie do stert młocarni i ciągnika celem przeprowadzenia młocki. Major zgodził się i któregoś dnia rozpoczęliśmy pracę.

Będąc sam na miejscu, stwierdziłem, że obie sterty posiadają szereg wnęk i korytarzy na różnych poziomach, co świadczyło o tym, że żołnierze pilnujący lotniska i samolotów zrobili tam sobie legowisko. Trochę mnie to zaniepokoiło, ale zleciwszy obsłudze podającej snopy ostroż-

ność, kazałem rozpocząć pracę. Wkrótce jednak, będąc jeszcze obecny przy stertach, posłyszałem jakieś wystrzały, a pracownicy zeskoczyli ze sterty, bo zaczęły im kule gwizdać koło uszu.

Przerwawszy pracę udałem się do dowódcy, który zbeształ odpowiednio jakiegoś podoficera i polecił dokładnie przeszukać „kwatery” żołnierzy w stertach. Po godzinie pracy ekipa znalazła w stercie: 1 pepeszę, 3 granaty, kilka magazynków z nabojami i ze dwie garście różnej amunicji luzem. Kontynuowanie młocki nastąpiło w zwiększonym składzie obsługi, bo snopy trzeba było rozwiązywać i bardzo uważać, gdyż jeszcze trafiały się pojedyncze naboje.

W Ryżkach pacowałem jednak tylko 2 miesiące. W wigilię Wszystkich Świętych — 31 października, przyjechałem do Tuchowicza.

Po mile spędzonym dniu z rodziną i zabawach z malutką córeczką w pogodnym nastroju udałem się na spoczynek.

— „Kak familia” — tymi słowami zostałem obudzony ze snu. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z sensu tych słów, lecz prędko zrozumiałem o co chodzi. Przy łóżku ujrzałem 2 umundurowanych funkcjonariuszy NKWD.

Dowiedziałem się, że jestem aresztowany, mam się ubrać i jechać z nimi. Idąc do Jazienki zobaczyłem, że wszyscy domownicy już są na nogach, a po mieszkaniu kręci się pełno żołnierzy, przeprowadzających rewizję. Zaglądano wszędzie, otwierano szuflady, szafy, kufry i walizki.

Gdy po powrocie do kraju wspominałem z matką te chwile to dowiedziałem się, że zabrano wtedy mój aparat fotograficzny, kosztowną lornetkę teatralną babci oraz kilka sztuk biżuterii.

Matka zmusiła mnie abym coś zjadł, dała plecak z jakąś żywnością na drogę. Po krótkim pożegnaniu kazali mi wsiąść na platformę wojskowego samochodu ciężarowego, gdzie siedziały już 2 osoby cywilne i 4 uzbrojonych konwojentów. Gdy samochód ruszył sprzed domu nie zdawałem sobie sprawy, że wrócę tu dopiero po 2 latach. Szybko przebyliśmy drogę do Łukowa,

gdzie w pobliżu stacji kolejowej zaprowadzili nas do piwnicy jakiegoś piętrowego budynku.

W słabo oświetlonej piwnicy siedzało na podłodze pod ścianami kilkanaście osób, w tym dwóch księży i znany mi z widzenia właściciel apteki z Łukowa. Przesiedzieliśmy tak cały dzień, aż do wieczora, gdy zazgrzytał zamek i weszło kilku żołnierzy. W wieczornym półmroku zobaczyłem ten sam chyba samochód, na którego platformę kazano nam wchodzić i siadać ciasno jeden koło drugiego. W ten sposób zapełniła się cała platforma. Na koniec wsiadło 4 żołnierzy i zajęli miejsca w rogach.

Samochód przejechał przez miasto i skręcił na szosę prowadzącą do Siedlec. Żołnierze zachowywali się brutalnie, nie pozwalali wstać aby rozprostować zdętwiałe nogi. Mżył drobny deszcz, było zimno, beznadziejnie.

Po godzinnej chyba jeździe wjechaliśmy do Siedlec, samochód stanął przed bramą więzienia. Po kilku minutach, przy akompaniamencie przekleństw i razów kolbami, znaleźliśmy się w dużej zbiorowej sali więziennej na parterze. U sufitu paliła się brudna żarówka słabo oświetlająca ponure wnętrza celi, gdzie pod ścianami siedziało i leżało kilkunastu mężczyzn.

W ogólnej celi siedleckiego więzienia przebywałem 3 dni. Czwartego dnia zostałem wywołany i zaprowadzony przez strażnika na pierwsze piętro, gdzie urzędował oficer NKWD. Zaczął mnie wypytywać o kontakty z AK, z Niemcami. Gdy zaprzeczyłem, obrzucił mnie stekiem przekleństw i zamierzył się na mnie grubym polanem drewna, leżącym na biurku. Nie uderzył jednak, lecz zawołał strażnika i rzekł: „na odinoczku z nim”.

Strażnik nabrał manier swego przełożonego i poszturchując mnie łufą pepeszy zaprowadził na dół, wziął od strażnika polskiego klucz, zaprowadził innymi schodami na piętro i zamknął w pojedynczej celi. Była to mała kłitka o wymiarach 2 × 3 m, z wysoko umieszczonym okienkiem wychodzącym na główną ulicę Siedlecką i narożny gmach banku.

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

W celi tej otrzymując 3 razy dziennie nędzny posiłek, przebywałem 10 lub 11 dni. Nie miałem też żadnych przesłuchań. Z osobistych rzeczy po rewizjach zdołałem zachować obrączkę wsunąwszy ją za podszewkę kamizelki, bursztynowy krzyżyk oraz mały bloczek i kawałeczek ołówka. Najgorszy był brak tytoniu, o czym wiedzą dobrze palacze.

Samotne przebywanie w celi oraz kompletny brak jakiegokolwiek zajęcia, skłaniało do rozmyślań: Czy dobrze zrobiłem, że zostałem w Tuchowiczu, czy nie powinienem pójść w ślady sąsiadów i wyjechać z rodziną w bezpieczne miejsce? Co stanie się z moimi bliskimi, a co ze mną samym?! Czy nie podzielę losu ojca, którego w roku 1914 za działalność polityczną aresztowały władze carskie i zesłały na cztery lata w głąb Rosji do więzienia w Ufie?

Wspominałem także rok 1920, kiedy matka pod nieobecność ojca walczącego na froncie, uciekała ze mną i młodszym bratem za Wisłę przed nacierającą armią sowiecką. W tym czasie byliśmy jeszcze małymi dziećmi, ale już zetknęliśmy się z brutalnością i grozą wojny. Jaki los spotka mnie obecnie? Coraz bardziej jednak traciłem nadzie-

ję na pomyślne zakończenie sprawy. Czas mijał. Nastąpiła już połowa listopada, przez okienko widziałem przechodniów idących szybko ulicą, chroniących się od wiatru i zacinającego śniegu z deszczem.

Wreszcie któregoś dnia, późnym wieczorem na korytarzu zapanował ruch, zgrzytanie zamków i trzaskanie drzwiami. Otworzono i moją celę z okrzykiem „sobirajsia” z dodatkiem wulgarnych wyzwisk.

Na korytarzu zaczęto nas formować w dwójki i prowadzić w dół po schodach, na dziedziniec więzienny. Był tam ruch, krzyki i zamieszanie. Na trzy lub cztery samochody ładowano więźniów licząc po 30 osób na każdą platformę. Z trzech stron padało oślepiające światło reflektorów i słychać było przekleństwa, razy uderzeń i okrzyki bitych. Ja mimo sprawnego skoku na samochód, dostałem kolbą po karku. Szybko kucnąłem w kącie, aby się nie narażać na dalsze uderzenia. Długi czas panował gwar, zamieszanie i liczenie więźniów na samochodach. Wreszcie otwarto bramę i konwój wyjechał na ulicę. Konwojenci, siedzący na burtach samochodu, nie pozwalali więźniom na żadne ruchy, bijąc z góry kolbami po głowach.

Po godzinie lub półtorej ujrzelśmy światła większego miasta — był to Sokółów Podlaski. Samochody wjechały na boczną stację kolejową i zatrzymały się przy długim składzie wagonów towarowych. Plac był oświetlony reflektorami stojących wokół samochodów, które już wcześniej przywiozły aresztantów. Część wagonów była już zapelniona. Nas zatrzymano przed jednym z wagonów i zaczęto ustawiać piątkami, dobierając ludzi z drugiego samochodu. Ustawiono 8 piątek, kilkakrotnie przeliczając. Odsunięto drzwi i ponieważ pociąg nie posiadał rampy, stawiano specjalne zapory, by przy wsiadaniu nie dał ktoś „nura” pod wagon.

Gdy wszystko było gotowe, dano hasło do wsiadania i wtedy skacząc i podsadzając się jeden drugiego zaczęliśmy zapelniać wagon. Nie obyło się przy tym bez szturchańców i uderzeń kolbami, gdy ktoś wsiadał nie dość sprawnie. Kiedy wszy-

scy już weszli zasunęto drzwi, usłyszeliśmy chrobot zamykania i drutowania zasuwy. Była noc, więc w wagonie panowała kompletna ciemność. Staliśmy stłoczeni jak stado baranów pośrodku wagonu. Po obu jego stronach były urządzone dwupiętrowe prycze z grubych surowych desek. Na środku wagonu stał żelazny piecyk z rurą zamocowaną w wycięcie dachu, a obok piecyka leżało trochę (około 50 kg) węgla. W rogu przeciwległych drzwi wagonu znajdowała się dziura, a w niej wprowadzone coś w rodzaju leja wykonanego z grubej blachy. Cztery okienka po dwa z każdej strony były zakratowane pionowo i omotane poprzecznie drutem kolczastym.

Przeraziły nas te „wygody”. Świadczyły bowiem, że czeka nas długa podróż. Podstawowym pytaniem było czy podróż w obrębie kraju czy za granicę. Na razie jednak w gronie tych 40 mężczyzn, których los przypadkowo związał ze sobą, zaczęliśmy się zapoznawać i zagospodarowywać w naszej „salonce”. Nie kleiła się jednak rozmowa i po krótkiej wymianie zdań powczołgiwaliśmy się na prycze.

Nie mogłem zasnąć. Długo w nocy słyszałem hałasy i krzyki przy załadowywaniu dalszych wagonów. Wreszcie uciszyło się i słychać było tylko kroki wartujących żołnierzy i ich krótkie rozmowy. Niektórzy usnęli, inni natomiast, podobnie jak ja, zbyt intensywnie przeżywali swe położenie, by móc zapaść w sen.

Nad ranem, gdy mdle światło zaczęło zaglądać do zakratowanych okienek, poczuliśmy drganie wagonu, a potem dalsze szarpania. Pociąg ruszył. W wagonie zrobiło się jeszcze zimniej, bo okienka były nieoszlone. Powstał problem zapalenia pieca. Okazało się, że 2 osoby mają przy sobie po kilkanaście zapalek i jeden zapalniczkę. Ale jak rozpalić ogień? Nikt z nas nie posiadał scyzoryka ani noża, aby nastrugać drzazg z desek pryczy. Od papieru, którego trochę mieliśmy, węgiel nie chciał się zapalić. Wreszcie ktoś z nas zauważył, że piecyk stoi na 4 żelaznych nóżkach wykonanych z tzw. kantówki, wsuniętych w odpowiednie zaczepy po bokach piecyka. Jedną z ta-

kich nóg zaczęliśmy rozszczepywać deskę. Po jakimś czasie były już drzazgi i rozpaliliśmy ogień.

Zrobiło się cieplej ale gdy spoglądaliśmy na nasz zapas węgla, to nam miny zrzedły. Ta ilość, przy ciągłym paleniu mogła wystarczyć najwyżej na 10—12 godzin. Ale jednocześnie dawało nam to pewną otuchę, że podróż nasza potrwa krótko.

Pociąg stał dość długo na bocznych torach pod Siedlcami, ale ruszył wreszcie w kierunku Łukowa. Tam właśnie, w Łukowie, miało się ujawnić dokąd nas wiozą. Wiedziałem bowiem dobrze, że w Łukowie rozgałęziają się tory. Jedna linia na wprost, biegnie na Terespol do Brześcia i dalej do Rosji, natomiast w prawo ciągną tory przez Międzyrzec do Lublina.

W związku z tym podjąłem próbę powiadomienia moich bliskich co się ze mną dzieje. Wyrwałem z notesika 2 kartki. Na jednej z nich napisałem „pojechaliśmy na Majdanek”, na drugiej „pojechaliśmy na wschód — na Brześć” i na obu dopisałem „zawiadomić Hemplów w Tuchowiczu”. W kartki owinąłem kawałki węgla wielkości orzecha włoskiego, omotałem mocno nitką wyrwaną z kamizelki. Gdy pociąg minie Łuków i przez okienko ustalę kierunek jazdy — myślałem — jedną z tych białych kulek wyrzucę przez okno, może ktoś znajdzie ją i zawiadomi moją rodzinę.

Czekałem zatem na właściwą chwilę, trzymając w prawej ręce kulkę lubelską a w lewej brzeską.

Droga do Łukowa minęła dość szybko i wyglądając z prawej strony ujrzałem budynek dworca a dalej... wyraźnie widoczne odgałęzienie toru biegnącego do Lublina. Wyrzuciłem więc kulkę z lewej ręki. Widziałem jak się potoczyła po łagodnym zadarnionym stoku płytkiego rowu przy torach.

Kartkę z tej kultki otrzymała moja matka w Tuchowiczu wiosną 1945 od emerytowanego kolejarza z Łukowa, który pasąc krowę przy torowiskach znalazł ją. Przeleżała ona pod śniegiem całą zimę (od 15 XI 1944 do 15 V 1945). Zapis na kartce był zamazany ale jeszcze czytelny. Była to, jak się okazało, jedyna wiadomość o mnie.

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Wiozą nas więc do Rosji. Świadomość ta w różny sposób podziałała na garstkę ludzi więzionych przemocą w nieznaną. Jedni piakali, drudzy zło-rzeczyli, a kilku usiłowało żartować. Nie pamiętam już dzisiaj, co wtedy myślałem, minęło już bowiem wiele lat, ale wydaje mi się, że starałem się trzeźwo ocenić sytuację. Wykorzystać należało czas, gdy pociąg biegł jeszcze przez ziemie polskie. Z dwoma wesoło usposobionymi chłopakami spość Sokołowa, którym przedstawiłem swój projekt, wzięliśmy się do dzieła. Wyszukać należało takie miejsce w wagonie, w którym można by wybić dziurę i wydostać się na zewnątrz.

Jako taranu można było użyć jedną z grubych desek wziętych z pryczy. Podłoga była zbyt solidna, taranować więc można było tylko jedną ze ścian szczytowych bądź dach. Ten ostatni wydał się nam najłatwiejszy do przebicia, bo zbudowany był z cieńszych desek. Taranować należało tuż przy ścianie szczytowej gdzie najłatwiej oderwać część dachu. Próbę oderwania dachu należało zrobić zaraz, w czasie biegu pociągu, a wybicie właściwego otworu i ucieczkę dokonać z nadzieją pierwszej nocy, bo wtedy będziemy jeszcze w polskich granicach.

Wzięliśmy jedną z luźno leżących desek pryczy, odsunęliśmy pozostałe deski i przy ścianie szczytowej zaczęliśmy uderzać w sufit tuż przy ścianie. Przy mocniejszym jednak uderzeniu usłyszeliśmy stukanie w ścianę szczytową z zewnątrz i stłumione szumem pociągu głosy.

Przegraliśmy. Chyba akurat przy naszym wagonie była budka, a w niej konwojenci. Poczynania nasze zostały ostro skrytykowane przez współtowarzyszy, którzy zresztą słusznie, obawiali się represji na skutek naszego wyczynu. Ale szybko usunęliśmy wszelkie ślady i przywróciliśmy pierwotny stan wagonu.

Na najbliższej stacji otwarto nasz wagon, weszło kilku konwojentów z dowódcą, obejrzano wagon lecz nie znalazłszy żadnych śladów wyłamania, ograniczyli się do ostrych wymyślań i kilku szturchańców. Zapowiedziano przy tym, że w wypadku hałasów i stukania winni zostaną zastrzeleni.

Wkrótce nadeszła noc, a rano zobaczyliśmy ubielony śniegiem krajobraz. Byliśmy już na terenie ZSRR. Dokuczać nam zaczął głód i pragnienie. Od czasu wyjazdu z Sokołowa minęła już doba, a nam nie dano nic do jedzenia ani picia. Ponieważ śnieg padał coraz obficie, niektórzy chwyтали go dłońmi, aby zwilżyć wargi wodą.

Koło południa pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce. Usłyszeliśmy ruch koło wagonów. Wreszcie i nasze drzwi zaczęto otwierać chrobocząc drutami. Przez nieznacznie tylko odchyloną szparę wrzucono worek z jakąś zawartością. W worku był suszony chleb razowy w ilości ok. 10 kg.

Chleb w postaci kromek różnej wielkości został wyłożony na szeroki płaszcz jednego ze współtowarzyszy i komisyjnie rozdzielony na 40 porcji. Wszyscy będąc solidnie głodni dość łapczywie zjedli chleb, co dało nam chwilowe uczucie sytości, lecz po krótkim czasie zaczęło nas trawić pragnienie. Przy każdym okienku utworzyła się kolejka do łapania śniegu, co oczywiście nie mogło zaspokoić pragnienia.

Jednocześnie coraz bardziej zaczęło nam doku-
zać zimno. Na terenach polskich rzadko rozpala-
liśmy ogień, bo temperatura utrzymywała się
znacznie powyżej zera. Teraz jednak jednocześnie
z opadami śniegu było mroźno. Zapas węgla koń-
czył się i właściwie tylko grube deski z pryczy
mogły stanowić opał, a rąbanie szło nam coraz
sprawniej.

Wraz z ubytkiem desek ubywało nam także
miejsca do spania. Gdy w wagonie było coraz
zimniej skupialiśmy się wszyscy na parterze, wo-
kół piecyka. Spaliśmy jeden przy drugim, jak
przysłowiowe śledzie w beczce.

Nazajutrz po zjedzeniu sucharów z chleba pra-
gnienie tak wzrosło, że zaczęliśmy podczas jakie-
goś postoju wołać o wodę i tupać nogami. Okrzy-
ki „wody, wody” dochodziły ze wszystkich wago-
nów. Pociąg ruszył dalej, lecz wkrótce zatrzymał
się w polu. Posłyszeliśmy znajome chrobotanie
drzwi wagonowych. Otwarto i nasze drzwi. Z do-
łu krzyknięto po rosyjsku: „dwóch ludzi zejść po
wodę”.

Znajdując się blisko drzwi wyskoczyłem szybko
na ziemię, a za mną jeszcze jeden chłopak. Obok
wagonów stało już kilka osób z kubelkami w rę-
kach i kilku konwojentów. Wręczono nam po
wiadrze i ustawivszy się dwójkami pomaszerowa-
liśmy wąską dróżką prowadzącą obok chłopskich
zabudowań do małego lasu brzoźowego. Przechod-
ząc w pobliżu wspomnianych zabudowań zauwa-
żyliśmy kilka kobiet zaprzęzonych linkami do kie-
ratu poruszającego żarna.

Zaraz za laskiem otworzył się rozległy widok
na duże jezioro ścięte świeżym lodem przysypa-
nym śniegiem. Widok wody, której brak męczył
nas od dawna, spowodował niekontrolowaną reak-
cję. Wszyscy rzucili się na wyścigi do jeziora i
zaczęli pić wodę jak zwierzęta zanurzając w niej
twarze. Konwojenci nie bronili nam napić się do
woli, śmiali się tylko z nas i żartowali, że pijemy
jak sobaki. Potem napełniliśmy wiadra i poma-
szerowaliśmy do wagonów.

I wtedy zaczęła się tragedia. Gdy otwarto nasze
drzwi i ludzie z wagonu zobaczyli wodę — zarea-

gowali podobnie jak my przy jeziorze. Wreszcie
na nasz apel dwaj najpoważniejsi, cieszący się
autorytetem starsi mężczyźni, wzięli od nas wia-
dra, a my usiłowaliśmy wprowadzić zorganizowa-
ny rozdział wody. Nie mogliśmy jednak na tyle
opanować sytuacji i wynikła wręcz walka. Wiele
wody zostało rozlane i niektórzy wcale jej nie
otrzymali. Pod wieczór wręczono nam znowu wo-
rek sucharów, co łącznie z wydawaniem wody
czyniono już codziennie.

Dni płynęły monotennie, mijaliśmy małe i wię-
ksze stacje, trasa nasza przebiegała przez Mińsk,
Smoleńsk, Wielkie Łuki i dalej na północ. W wa-
gonie było coraz zimniej, pozatykaliśmy część
okienek czym się dało i dopalaliśmy resztki na-
szych prycz. Zamarzała nam ubikacja i musieliśmy
ją stale czyścić, aby odchody wydostawały się na
zewnątrz.

Dwunastego dnia podróży przyjechaliśmy do
stacji kolejowej Bologoje. Pociąg stał jeszcze całą
noc, a rankiem dnia następnego nastąpił rozładun-
ek.

Był słoneczny mroźny dzień, gdy po wyjściu z
wagonów kazano nam piątkami siadać na śniegu
w polu o kilkanaście kroków od wagonów. Gdy
w pełnym świetle spojrzeliśmy nawzajem na sie-
bie — przeraziliśmy się. Byliśmy brudni, czarni
od dymu, zarośnięci, podobni do dzikich stworów.

Pasażerowie każdego z wagonów tworzyli zwar-
tą grupkę. Wokół kręciło się wielu konwojentów,
niektórzy mieli ze sobą psy policyjne. Z niektó-
rych wagonów wynoszono chorych na samochód,
a dwa sztywne przedmioty załadowano osobno.
Były to chyba trupy tych, którzy nie wytrzymali
transportu.

Liczeniu i sprawdzaniu stanu osobowego trans-
portu nie było końca. Zaczęliśmy już porządnie
marznąć. Przyglądając się pociągowi naliczyłem
około 40 wagonów. Co drugi wagon miał budkę
strażniczą. W środku pociągu znajdował się wa-
gon osobowy, w którym jechało kierownictwo
transportu.

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Okolo południa kazano nam wstać. Pomaszerowaliśmy jakąś drogą w asyście wielu uzbrojonych konwojentów i psów policyjnych. Za nami jechały 2 samochody. Szliśmy ok. 3 godzin robiąc krótkie odpoczynki. Niektórzy nie mogli dalej iść i zabierano ich na samochody.

Ściemniało się prawie zupełnie gdy zobaczyliśmy kilkanaście baraków otoczonych podwójnym pasem drutów kolczastych. Po 4 rogach ogrodzonego placu, zajmującego ok. 2-3 ha, stały wysokie wieże strażnicze.

Przed nami był obóz zwany Borowicze, położony w miejscu odosobnionym. Jak okiem sięgnąć nie widać było żadnych innych zabudowań.

Przez bramę weszliśmy do środka. Partiami zagnano nas do poszczególnych baraków tzw. ziemianek do których wchodziło się po kilku stopniach w dół. Okienka znajdowały się tuż przy ziemi. Wewnątrz stały dwupiętrowe prycze, na które popadaliśmy kompletnie wyczerpani.

Obudzono nas wcześnie rano. Zaczęły się trwające cały dzień zbiórki, przeliczenia, spisowania, a wreszcie ogólna zbiórka całego obozu na dużym placu, gdzie komendant poprzez tłumacza poinformował o regulaminie życia obozowego oraz na-

szych obowiązkach i pracy poza terenem obozu. Zakomunikowano nam, że w bliskim sąsiedztwie obozu są 2 kopalnie: odkrywkowa węgla brunatnego oraz gliny jako surowce dla fabryki ceramicznej.

Przydziały do poszczególnych grup roboczych i obozowych zajęć funkcyjnych dokonała główna komenda obozu za pośrednictwem oddziału jeńckiego żołnierzy i podoficerów niemieckich. Ironią losu było więc powtórne, po Generalnej Guberni, podporządkowanie Niemcom. Grupa Niemców, około pięćdziesięciosobowa, miała porządnie urządzone baraki. Spano tam na pryczach z siennikami. Niemcy mieli własną kuchnię, osobną jadalnię, umywalnię i latrynę. Do baraku tego zabroniony był wstęp Polakom. Niemcami dowodził oficer w stopniu kapitana. Bezpośredni kontakt utrzymywali z nami tylko podoficerowie i żołnierze, którzy z kolei sami wyznaczali podległego sobie dowódcę baraku — Polaka i grupowych na pryczach. Ogółem w obozie było 15 so-wietów, 50 Niemców i 160 nas, internowanych Polaków. Grupowi na pryczach wychodzili także do pracy i ich rola jako starszych kończyła się przy wyjściu z baraków. Do pracy tzw. komando (z języka niemieckiego — nazwa używana w obozie) poza teren obozu wychodziło 1540 osób, nie licząc uznanych za chorych w danym dniu. Reszta miała funkcje w obozie.

Po rannej pobudce następował apel na placu obozowym, który czasem trwał bardzo długo. Przy złej pogodzie był koszmarem bo należało w błocie i padającym deszczu albo na mrozie stać godzinę i więcej. Chodziło o to, aby zgadzał się stan. Z powodu błędnych obliczeń, czasami stało się w nieskończoność.

Potem wracaliśmy do baraków i po 2 ludzi (na zmianę) z każdej pryczy wychodziło po chleb wydawany raz dziennie w ilości 40 dkg. Chleb w gotowych porcjach przynoszono na deseczkach. Rozdział następował w ten sposób, że kolejno jeden z dziesiątki wymawiał jakąś cyfrę od 1 do 10 i dalej zgodnie ze stałą numeracją w dziesiątce.

Chleb brano według kolejności. Porcje na desce leżały w dwóch rzędach, po 5 porcji w każdym. Chodziło o to, aby wyeliminować jakąkolwiek stronniczość czy protekcję w rozdawaniu chleba, którego porcje nie zawsze miały identyczną wagę, a poza tym najcenniejsze były te, w których więcej było skórki.

Niektórzy zjadali chleb od razu, inni dzielili na porcje i nosili je w kieszeni. Palacze z reguły odkładali część chleba na wymianę za tytoń według przyjętej w obozie taryfy: 3 skręty machorki za 20 dkg (1/2 porcji chleba).

Następnie wychodziło się do pracy w dużych oddziałach konwojowanych przez sowietów. Nie znalazłem się w uprzywilejowanej grupce pracującej na terenie obozu. Do tego trzeba było mieć charakter cwaniaka, a prócz tego dobrze znać język rosyjski lub niemiecki. Można było także kupić sobie taką „posadę” za pierścioneł, zegarek itp.

Od początku przydzielono mnie do „komando” kopiącego glinę. Do glinianek szło się około 2 km. Tam przy pomocy szpadla, oskarda i łomu, bez względu na porę roku, wydobywało się glinę i ładowało ręcznie na wagoniki jadące po wiszących szynach do znajdującej się w pobliżu fabryki. Praca w glinie była częstokroć ponad nasze siły. Odrywanie od podłoża kawałków mokrej gliny przez 8 godzin dziennie wymagało niewspółmiernie dużego wysiłku w stosunku do głodowych racji żywnościowych jakie otrzymywaliśmy. Wracaliśmy do obozu ledwie powłócząc nogami. Kompletnie pomęczeni siadaliśmy na swych pryczach w oczekiwaniu na „obiad”.

Na zmianę, podobnie jak przy wydawaniu chleba, przynosiliśmy z kuchni zupę w drewnianych wiaderkach. Roznoszący w danym dniu dyżurny na oczach całej dziesiątki specjalną łyżką (durszlakową) wystruganą z deseczki badał zawartość 5-litrowego kubelka z zupą. Wszelkie produkty stałe jak kawałek flaku, ziemniaki, buraki itp. wyjmował na deseczkę. Pozostałą zawartość płyn-

ną rozdzielał inną łyżką. Do napełnionych w ten sposób blaszanek (po konserwach) wkładało się 1/10 część wyłowionych produktów stałych, wszyscy brali swe puszki i jedli łyżkami wykonanymi z drewna.

Uwaga! W obozie nigdy nie zostały nam wydane przyrządy do jedzenia, to znaczy talerze czy też miski oraz sztucce. Blaszanki po konserwach, służące jako talerze, znajdowało się na śmietnikach przy kuchni sowieckiej i niemieckiej oraz w czasie wypraw do pracy. Jako sztucce służyły nam łyżki wykonane z odpadków drewna. Przybory te jak najcenniejsze skarby, nosiło się przy sobie przytroczone sznurkiem do pasa w obawie przed zaginięciem lub kradzieżą.

Do kolacji był czas wolny, w czasie którego w zależności od pogody i stanu zdrowia przebywało się w barakach, bądź też na dozwolonych otwartych terenach obozu.

Po wieczornym apelu, zwanym „prawierką”, przeprowadzanym wewnątrz baraków, zmuszeni byliśmy śpiewać hymn sowiecki. Co za perwersja, iście bizantyjska, kryła się w tym zarządzeniu, aby zmuszać Polaków do śpiewania wrogiego hymnu. Nie wszyscy oczywiście śpiewali, większość udawała, ale pieśń musiała brzmieć dość głośno w baraku, by nie narażać się na represje sprawdzających. A dla kompletnego już chyba naszego pogwałcenia słyszeliśmy jak jeńcy niemieccy oficjalnie śpiewali swój własny hymn, a słowa „Deutschland über alles” niosły się swobodnie po obozie.

Same baraki, jak już wspomniałem, były zbudowane z okrągłaków w wykopach ziemnych z dwuspadowym dachem, gdzie okap wznosił się ok. 50 cm nad powierzchnią ziemi. Wchodziło się do nich ze szczytu po kilku schodkach w dół. Z boków, tuż przy ziemi, znajdowały się małe oszklone okienka. Poprzez barak biegły 2 korytarze, po bokach stały dwupiętrowe prycze z desek.

(cdn.)

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Spaliśmy zimą w ubraniach, a latem w bieliznie. Nie otrzymaliśmy ani sienników i poduszek, ani żadnych kocy. Ja na przykład kładłem pod głowę cegłę, na cegle leżała czapka. Od spania przez okres niemal dwuletni na twardych deskach dostawaliśmy na kościach biodrowych coś w rodzaju rybiej łuski. Taką łuskę miałem jeszcze przez pół roku po powrocie do kraju.

Można sobie wyobrazić w jaki sposób na cywilizowanych ludzi działały tak prymitywne warunki, łącznie z faktem nie rozbierania się przez cały w zasadzie okres niewoli.

Barak nie posiadał żadnego ogrzewania. Ale, o dziwo, nawet przy bardzo silnych mrozach w baraku z pełną załogą ludzi było ciepło. Latem spaliśmy przy otwartych oknach i drzwiach. Oświetlenia nie było żadnego, więc w okresach jesienno-zimowych przy wydawaniu posiłków rano i wieczorem świeciliśmy lucyiwem. Każda prycza miała zawsze przygotowane drewnienka suche i smolne, które oświetlały moment rozdziału porcji żywnościowych.

Zimą większość z nas miała przeziębione pęcherze, co wymagało częstego oddawania moczu. Każdy z baraków miał swoją latrynę. Były to długie

doly z drągiem, nie zadaszony. Tragedią było nocne udawanie się do latryny, zwłaszcza zimą, gdy zamieniały się one w góry lodowe. Sprawa mycia się została także niesłychanie prymitywnie załatwiona i właściwie dostępna tylko latem. Kilka koryt przy studniach kopanych skąd czerpało się wodę ręcznym kołowrotem, nie mogło zaspokoić potrzeb półtora tysiąca ludzi. Zimą nie myliśmy się w ogóle, bo nie było jak. Ograniczaliśmy się do tzw. „bani” raz na dwa tygodnie, kiedy rozebrani do naga w przestronnym baraku z wybetonowaną podłogą otrzymywaliśmy skopek około 3-litrowy gorącej wody i kawałeczek mydła wielkości mniej więcej połowy cieńszej kostki cukru. W pomieszczeniu tym stał pośrodku okrągły piec blaszany, który w nieznacznym tylko stopniu mógł nagrzzać. Jednocześnie nasze ubrania i bielizna osobista, czapka i obuwie nanizane na druciane kółko szły do pieca żarowego, gdzie teoretycznie miały być zabite insekty stale nas prześladowające. Faktycznie jednak nie dawało to pożądanego efektu, bo piece zbyt przeładowane nie osiągały odpowiedniej temperatury, a podgrzane wieszki nabierały tylko animuszu do dalszego działania. Ostatecznie po godzinie marznięcia w tej pseudo-łaźni otrzymywaliśmy swoje łachy, które przy ubieraniu się były przynajmniej przyjemnie ciepłe.

Niezależnie od stałego zawsznienia i zapchlania byliśmy masowo atakowani przez pluskwy, które całymi batalionami żyły w szparach naszych prycz. Nie było na nie sposobu. Próbowaliśmy różnych środków, z których najskuteczniejsze było wypalanie pluskiew ogniem. Ale i to stanowiło półśrodek, bo nie można było dotrzeć wszędzie płonącymi żagwiami. Należało więc przyzwyczaić się do pluskiew, a wtedy nie czuło się już ich ukąszeń oddając tylko każdej nocy daninę krwi temu paskudztwu.

Ale najgorszy był głód. Kto tylko zna to słowo, a sam go nie przeżył, nie jest w stanie tego zrozumieć.

Późna jesień i długa, ciągnąca się, zdawałoby się bez końca zima 1944/45 była straszna. Dzielne

racje 40 dkg gliniastego chleba oraz wodniste obiadowe zupy, nie licząc brunatnej cieczy bez smaku zwanej kawą, nie mogła absolutnie wystarczyć przy ciężkiej fizycznej pracy na kopalniach brunatnego węgla i gliny. Najgorzej cierpieli ludzie rośli i korpuletni, których organizmy potrzebowały na pewno więcej pożywienia. Dodawszy do tego brak tytoniu — ludzie palący cierpieli najbardziej.

Jedyną uprzywilejowaną grupę Internowanych stanowili, jak już wspomniałem, funkcyjni zatrudnieni w kuchni obozowej. Oni przynajmniej nie byli głodni. Przez nich też, mających bezpośrednie kontakty z sowiecką administracją obozową, można było dostać machorkę, ale tylko za chleb, albo za jakieś lepsze sorty ubraniowe lub kosztowności ocalone cudem po rewizjach. Transakcje takie zawierało się tylko podczas wolnego czasu po obiedzie na głównym placu obozowym, po którym snuli się grupkami lub pojedynczo ludzie głodni, spragnieni chleba lub dymu tytoniowego. Ludzie ci, dzierżąc w ręku zawiniątko z porcją chleba, toczyli ze sobą wewnętrzną walkę o to czy spożyć swój chleb czy też wymienić go na garść machorki, by móc zaciągnąć się dymem dającym chwilowe zapomnienie nędzy i upodlenia.

Niektórzy posiadający zdolności grawersko-artystyczne wykonywali z różnych odpadków blachy (połamane kubki, dziurawe manierki) przedmioty natury pamiątkarsko-patriotyczne, jak pierścionki, orzełki itp. oraz dewocjonalia. Przedmioty te można było kupić za chleb, który był głównym środkiem płatniczym.

Sam kupiłem kiedyś aluminiowy orzełek za pół porcji chleba. Ci, którzy nie mieli nic do wymiany, błądzili w pobliżu ścieków kuchennych w poszukiwaniu obierzyn ziemniaczanych lub innych odpadków nadających się jeszcze do zjedzenia.

Czasami, gdy nie było w pobliżu personelu sowieckiego, kucharze noszący wodę z pobliskiej studni wzywali do tej pracy ochotników z wałęsających się poszukiwaczy odpadków. Pozwalali im wydrapać puste kotły po obiedzie z przylgniętych ziemniaków, brukwi itp. Kiedyś sam, nanosiwszy kilkanaście wiader wody, dostałem do oczyszcze-

nia taki kocioł i najadłem się tak dużo tych „smakółków”, że odzwyczajony żołądek zareagował w sposób raczej nieprzyjemny.

W czasie długich, zimowych wieczorów siedzieliśmy na pryczach prowadząc różne gawędy i wspominając dawne czasy na wolności. Wśród tych opowieści wiele było mowy o jedzeniu i przepisach kulinarnych, co w jakiś sposób zastępowało nam fizyczny proces jedzenia. Ciekawe, że w tych opowieściach występowały wyłącznie potrawy proste, jak kasza, mąka, ziemniaki, tłuszcz itp. Byli wśród nas specjaliści, którzy z tych składników wyczarowywali... słowami wspaniałe potrawy, a reszta raczyła się nimi w wyobraźni. Prowadziliśmy też pogadanki natury zawodowej, z różnych dziedzin i specjalności.

Wszystko to odbywało się w mroku, do którego przywykliśmy, a jedynym oświetleniem były żarzące się gdzieś papierosy, łuczywo oraz słaby blask, wpadający przez małe okienka baraku, obozowych lamp naftowych zawieszonych pod specjalnymi daszkami na wysokich słupach.

Jeden barak na terenie obozu przeznaczony został dla chorych. Wnętrze tego baraku było podobne do normalnych, jedynie brak było środkowego rzędu prycz. W tym miejscu stał okrągły piec, w którym zimą palił się ogień. Część baraku przeznaczono dla zmarłych. Ciała te leżały tam zwykle po kilka dni, bo grzebanie zmarłych odbywało się raz w tygodniu.

Naczelnym lekarzem obozu była kobieta (wraz), jej zastępcą podoficer niemiecki (felczer) oraz podległy im lekarz — Polak.

Okolice obozu w Borowiczach były bezleśne, natomiast niższe kompleksy gruntu zarosnięte łożą, której zwarte gąszcza rozprzestrzeniały się jak okiem sięgnąć wzdłuż niewielkiego wodocięku. Łoża ta, w co trudno byłoby uwierzyć, stanowiła opał do kuchni obozowej. Specjalna brygada ciągnąc za sobą wózki latem, a sanki zimą udawała się po łożę, którą wycinało się ciężkimi nożami ni to toporkami. Jak taka zielona łoża paliła się pod kotłami do dziś nie wiem, ale paliła się, chyba dzięki specjalnie urządzonym paleniskom.

(cdn.)

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

W nieprzebranych dżunglach łozy gnieździły się cietrzewie, których całe stada podrywały się często, gdy wycinaliśmy i ładowaliśmy na wózki pęki łozy. Zimą odzywały się tam wilki, których wycie słychać było nocą. Wiosną niósł się porankami urzekliwy bełkot cietrzewi. W kontaktach ze wierzyną odzywała się we mnie żyłka myśliwska i mimo że ledwie powłóczyłem nogami, na łopot cietrzewich skrzydeł chwytalem w wyobraźni za strzelbę, aby celnym strzałem z przyrzutu ściągnąć ze stada czarnopiórego ptaka.

Codziennego zaopatrzenia w chleb dokonywała specjalna brygada udająca się z wózkiem lub sankami ciągniętym przez ludzi pod nadzorem konwojenta sowieckiego do piekarni w Borowiczach (ok. 5 km). Chleb znajdował się w mocnej, okutej żelazem, szczelnej skrzyni zamykanej na kłódkę, co wykluczało kradzież w czasie drogi odbywanej często w porze nocnej. Wózek ciągnęło 6 internowanych, zmienianych co 15 minut przez drugą szóstkę idącą luzem.

Inne produkty żywnościowe jak mąka, kasza, podrobki z rzeźni itd. przywoził co jakiś czas samochód. Ziemniaki i inne okopowe, składowane były w dużym lochu — piwnicy w pobliżu kuch-

ni. Gdy zapas się skończył, wtedy po nową dostawę udawał się zwykle jeszcze przed świtem specjalny konwój do odległego ok. 20 km kołchozu. W konwoju takim byłem osobiście 2 czy 3 razy.

Pojazdy te ciągnęliśmy systemem podobnym jak przy transporcie chleba, z tym że droga powrotna przy obciążonych ziemniakami czy brukwią skrzynami była bardzo ciężka. W przestronnych kołchozowych piwnicach można było najeść się do syta surowych buraków lub brukwi. Niebezpieczna jednak była kradzież okopowych i ukrywanie ich po kieszeniach, gdyż wracając poddawani byliśmy ścisłej rewizji. Za ukradzione parę ziemniaków czy brukwi otrzymywało się tęgie lanie.

Kapusta w całych główkach zakiszona była w dołach ziemnych tuż w pobliżu kuchni. Była to klasyczna kiszonka, tak jak u nas dla bydła, tylko że sporządzana z jadalnej kapusty. Bardzo mi zawsze smakował kawałek „głabia” kapuścianego jakiego się trafił w zupie.

Przez cały czas życia w obozie nie mieliśmy żadnych wiadomości ze świata, żadnych gazet, żadnej korespondencji, nie mówiąc już o książkach, których istnienie wydawało nam się nierealne. Czasami tylko od Niemców przedostawały się jakieś zazwyczaj bardzo nieścisłe wiadomości ogólne.

Brak jakiegokolwiek „bumażki” był także klęską dla palaczy, bo nie było w co skrócić machorki kupowanej za chleb. Czasami wyrzucano z kuchni niemieckiej i sowieckiej kartony tekturowe od amerykańskiej „tuszonki”. Kartony te były wewnątrz impregnowane. „Specjaliści” potrafili je rozwarstwiać otrzymując papier do skręcania papierosów.

Jak nisko można upaść niech świadczy taki obrazek: idzie kolumna internowanych Polaków (nosiliśmy wycięte na prawym przedramieniu rękawy zaszyte łąką z rosyjską literą „I” („U”). Ludzie ci o błędnych głodnych oczach rzucają nerwowo szybkie spojrzenia pod nogi na lewo i prawo, szukając wyplutego przez żołnierza, albo miejscowego chłopca, niedopałka papierosa.



O pisałem wyżej, wybiegając częstokroć naprzód, rytm naszego życia obozowego. Tymczasem od naszego przyjazdu minął miesiąc i przyszły święta Bożego Narodzenia. Były to normalne dni pracy. Wieczorem w poszczególnych barakach śpiewaliśmy tylko kolędy, podczas gdy przed barakiem jeńców niemieckich stała duża choinka i słychać było muzykę i śpiewy „Hellige Nacht”.

Zaraz po świętach przyszły nowe rygorystyczne zarządzenia. Przy najbliższej „bani” odebrano nam cywilne ubrania, obuwie i nakrycia głowy, dając w zamian okropne brudne łachy. Były to kurtka i spodnie z umundurowań niemieckich, rosyjskie waciaki i czapki wojskowe z nausznikami, noszone przez wojsko sowieckie w latach 20 oraz buty drewniaki ze szmacianymi przyszwami.

Z mojego ubrania ocalała tylko koszula, długie gacie oraz kamizelka, w której zaszyta była obrączeczka i krzyżyk, bo nigdy się z nią nie rozstawałem. Utraciłem w ten sposób, prawie nowe buty z cholewami, bryczesy, marynarkę, krótki kożuszek barani kryty materiałem oraz czapkę zimową z lisa.

W styczniu i lutym 1945 przeżyłem najcięższy chyba okres w obozie. Z dnia na dzień ubywało mi sił i pomimo tego, że pod koniec lutego przestałem palić, czułem się coraz gorzej. W marcu panowały nadal tęgie mrozy i wreszcie gdzieś w połowie tego miesiąca zostałem zwolniony z pracy i skierowany do baraku szpitalnego. Całkowitemu upadkowi sił towarzyszyło kopitalne załamanie psychiczne. Byłem już w zasadzie, jak tu mówiono, gotowy.

Przypadek jednak zdarzył, że w baraku szpitalnym przyjął mnie na ewidencję znajomy lekarz weterynarii ze Stoczka Łukowskiego, który pełnił funkcję lekarza barakowego. Człowiek ten, którego nazwiska nie pamiętam, zaopiekował się mną. Pomimo, że miał nad sobą zwierzchnika Niemca i naczelnego lekarza sowieckiego, mógł jednak zapewnić mi jaką taką opiekę. Jemu też tylko zawdzięczam, że rok później powróciłem do Polski.

Leżałem na pryczy z jakimś jeszcze chorym, otrzymawszy koc i woreczek ze słomą pod głowę. Znajomy lekarz przemyślał dla mnie trochę pożywienia i leki, które pomogły utrzymać mnie przy życiu. Zamiast chleba przynoszą mi pieczone kartofle spalone nieomal na węgiel, które miały przywrócić mi zdrowie. Z tego okresu, trwającego przeszło miesiąc, pamiętam niewiele. Leżałem podobno na ogół przytomny. Pamiętam jednak jak zabierano z pryczy mego sąsiada, który zmarł i jak otrzymałem nowego współtowarzysza.

Po 2 tygodniach „mój” lekarz zalecił mi próby wstawania i utrzymywania się na nogach o własnych siłach co przychodziło mi z wielką trudnością. Uczyłem się powoli chodzić, robiąc codziennie coraz dłuższe spacerunki po baraku.

Otrzymywałem od mego opiekuna nadal pieczone ziemniaki, aż wreszcie przyniósł mi je surowe, zamknięte w dwóch puszkach podziurawionych gwoździem. Kazał mi samemu wkładać je do ognia w szpitalnym piecu i pilnować, aby je na czas wyjąć:

Pamiętam jak kiedyś, aby włożyć puszkę do ognia musiałem uklęknąć na podłodze i jak potem nie mogłem podnieść się o własnych siłach na nogi.

Ale z dnia na dzień czułem się coraz lepiej. dostawałem też do jedzenia zupę i chleb. Będąc już względnie zdrowy miałem okazję patrzeć z bliska jak pod koniec zimy 1945 topniały nasze szeregi. Warunki jakie nam stworzono choć bez komór gazowych i rozstrzeliwań co stosowali Niemcy w swoich obozach, niosły za sobą straszliwe żniwo śmierci. Codziennie z prycz przenoszono do kostnicy około 10 trupów. Tam, jak udało mi się zobaczyć, leżało wielu zmarłych zwałonych beładnie na stosy. Stąd raz w tygodniu wywożono o-darte z odzieży ciała poza obóz na grzebowisko.

Nie jestem w stanie dzisiaj, jak nie mogłem wówczas, określić ile osób z tych 1600 musiało na zawsze pozostać w glinianych wyrobiskach koło Borowicz. Chyba jednak więcej niż połowa tu przywiezionych mogła ponownie zobaczyć swój kraj.

(cdn.)

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Z Borowicz zdarzały się także próby ucieczki, ale zawsze bez powodzenia. Pamiętam jak kiedyś, jeszcze przed dostaniem się do szpitala, zwołano po obiedzie wszystkich na plac apelowy. Komentant obozu wygłosił krótkie przemówienie. Mówił jak kończą się próby ucieczki. Potem wciągnięto na sankach 2 trupy zastrzelonych i wprowadzono jednego rannego zakutego w kajdany. Była to trójka uciekinierów, którym udało się przejść tylko 25 km od Borowicz.

Wraz z powrotem do zdrowia powstał nowy problem. Zwierzchnicy sprawdzając stan chorych mogli mnie uznać już za zdrowego i wysłać na barak roboczy. Jeszcze przez jakiś czas udawało mi się przebywać tu jako niezdolnemu do pracy, lecz wreszcie lekarz powiedział mi, że tak dłużej być nie może. Ale mając znajomości wśród funkcyjnych, załatwił mi przydział do brygady obierającej w nocy ziemniaki.

I tak powróciłem do swego baraku, mając jednak stały przydział do nocnej brygady „kartoflarzy”. Mogłem w dzień spać i przebywać w baraku.

Robiło się coraz cieplej i możliwie często wychodziłem na świeże powietrze. Robiąc spacery próbowałem swoich sił na trapezie do gimnastyki,

stojącym nie wiadomo po co na dużym placu apelowym. Uchwyciwszy się dłońmi powyżej głowy za poprzeczkę nie mogłem w żaden sposób poderwać swego ciała do góry — ani o cal, co dawniej bez trudności wykonywałem wiele razy. Ale z czasem czułem się coraz silniejszy.

W obieralni kartofli praca była nie tyle ciężka, ile nudna, ale w tym okresie była dla mnie zbawienna. Pilnujący nas stary podoficer ćmił machorkę i drzemiąc, a budząc się od czasu do czasu strofował. Obieralnia mieściła się w szopie zbitcej z desek przy kuchni i było w niej zimno. Nie tyle jednak dla ciepła ile dla światła, bo pracę wykonywaliśmy w nocy, palił się ogień w małym piecyku bez drzwiczek, rzucając światło na brygadę obieraczy, wystarczające do tego rodzaju zajęcia. Przy okazji, za milczącym zezwoleniem naszego opiekuna, można było sobie upiec w żarze kilka ziemniaków.

W obieralni pracowałem około 2 miesięcy. Był już chyba początek lipca 1945, kiedy rozeszła się wieść, że część internowanych ma przejść z Borowicz do tzw. Wald-lagru 30 km na północ od Borowicza, gdzie znajduje się (w oddaleniu ok. 30 km) obóz pracy związany z eksploatacją lasu. Pogłoska się sprawdziła i z końcem sierpnia, mój barak i sąsiedni zostały wyznaczone do przenosin.

Przez 3 najbliższe dni sprawdzano stan naszej odzieży, wymieniając najbardziej zużyte części garderoby. Mnie udało się przy tej okazji otrzymać nowe drewniaki, bo te co miałem kompletnie się już rozłaziły.

Wymaszerowaliśmy z Borowicz bardzo rano i robiąc w ciągu drogi 2 postoje przybyliśmy pod wieczór do Wald-lagru w miejscowości Jegła lub Jogła.

Nowy obóz zrobił na nas dość korzystne wrażenie. Założony został na polanie po wyciętym lesie. Nie wiały tu uporczywe wiatry, które gnębiły nas w Borowiczach.

Cztery baraki zajmowały tylko niewielką część obozu. Na pozostałym obszarze stały parterowe budynki i urządzenia fabryczne. Produkowano tu becзки, szafliki, balie, wiaderka, skopki itp. Była tu główna hala obróbki drewna z siłownią, suszar-

nią desek oraz składy i baraki pomocnicze i magazyny gotowych wyrobów. Pod gołym niebem stały kozły do przecierania kłoców. Na placu leżało dużo drewna od surowych pni do gotowej tarcicy. Widać było także cały tabor transportowy wozów i sań. W części gospodarczej znajdował się cały zestaw budynków i urządzeń zaplecza obozu podobnie jak w Borowiczach.

Już następnego dnia zostaliśmy porozdzielani do różnych zajęć. Najpierw przydzielono załogi do pracy w fabryce i na placu, potem „komanda” transportowe i ścinki drzew. Ja dostałem się początkowo do tych ostatnich. Praca mojej brygady polegała na wykonywaniu ścinki drzewa i jego „zrywki”. Część kłoców, odpowiadająca pewnym wymogom, przeznaczona była gdzie indziej, a naszym zadaniem było dostarczenie ich do rzeki i spuszczenie na wodę, tzw. „lesospław”.

Ścięte przy pomocy zwykłych pił ręcznych drzewa jodłowe były czyszczone, segregowane i transportowane przez ludzi albo do rzeki, albo do drogi, gdzie ładowano je na wozy fabryczne.

Pamiętam jak niebezpiecznym zajęciem było przenoszenie na ramionach dużych kłoców przez 6—8 par dobranych wzrostem mężczyzn. Zdarzały się też dość często wypadki, głównie przy przenoszeniu kłoców po stromych zboczach i strącaniu ich do rzeki.

Pracowaliśmy tu pod nadzorem cywilnych robotników i majstrów. Rosjan. Niemców w Jogle już nie było, co sprawiło nam wielką ulgę. Kloce przeznaczone do naszej fabryki ładowano ręcznie na wozy do dłużycy, a potem osobna brygada transportowa ciągnęła je mozolnie zaprzęgiem z 10—12 ludzi krętą drogą o dość znacznych podjazdach i zjazdach. Surowy materiał składany był na placu, gdzie przystępowali do roboty tracz. Okorowany i poznaczony smarem kłoc windowano na stojaki i przecierano. Tarcicę składowano na placu do pierwszego przeschnięcia, po czym przenoszono ją do suszarni skąd wychodziły już suche deski. Suchy surowiec zabierano do głównej hali fabrycznej i tutaj był on poddawany specjalistycznej obróbce maszynowej i ręcznie składany w gotowe fabrykaty bednarskie.

Jogle nie posiadały elektryczności, nie było też w fabryce silników parowych ani spalnowych. Energią poruszającą heblarki, strugarki, piły tas-mowe itp. były mięśnie ludzkie. W przybudówce głównej hali znajdowała się siłownia. Na środku zawieszona na łożyskach stało ciężkie koło drewniane o średnicy około 3 m. Było to centralne koło zamachowe, poruszające pasem transmisyjnym małe koło osadzone na osi biegnącej przez całą halę fabryczną. Na tej osi osadzone były różne koła transmisyjne mogące poruszać szereg maszyn i agregatów.

Aby nadać bieg kołu zamachowemu, do jednej ze szprych na połowie jej długości przytwierdzony był zawiasowo długi pręt zamocowany też ruchomo nisko przy przeciwległej ścianie. Do koła stawało jednocześnie sześciu ludzi dobieranych wzrostem od 1,60 cm do 1,90. Ustawivszy się przy drągu zaczynali poruszać nim, przez co zaczynało się obracać koło zamachowe i ruszało całe urządzenie. Do obracania koła przeznaczone były 3 zmiany, które pracowały po 15 minut, a potem pół godziny odpoczywały. Gdybym tego nie widział i sam nie kręcił kołem, nigdy bym nie uwierzył że mogą istnieć takie silniki fabryczne.

Wyżywienie w Jogle było nieco lepsze i traktowano nas mniej brutalnie, choć nadal bez pobłażliwości. Czulem się tu fizycznie nieźle, chociaż praca była ciężka. I choć nadal byłem bardzo chudy, to czulem, że w moim organizmie ustabilizowała się swoista równowaga. Trapiły mnie przez czas dłuższy wrzody, które formowały się na różnych częściach ciała. Zdawałem sobie sprawę, że prawdopodobnie jest to zła przemiana materii spowodowana brakiem witamin. W czasie pracy w lesie zbierałem różne zioła, a głównie krwawnik, który dość obficie trafiał się na śródleśnych łączkach. Podobnie jak inni koledzy dodawałem możliwie dużo zielska do otrzymanej zupy.

W roku tym dość długo utrzymywała się jesienna pogoda utrudniająca nam pracę. Z początkiem zimy zmniejszono leśne „komando”. Wraz z innymi trafiłem do brygady pracującej przy segregacji i obróbce drewna na placu.

(cdn.)

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia powiał w obozie jakiś inny wiatr. Nastąpiła widoczna zmiana na lepsze, tak w samym odnoszeniu się Rosjan do Polaków jak i warunkach pracy i wyżywienia. Druga „gwiazdka” na obczyźnie przypadła też w zupełnie innych warunkach. Zrobiono nam dzień wolny od zajęć, pozwolono wstać młodą jodełkę zamiast choinki i dostaliśmy ekstra po całym solonym śledziu na głowę.

Prócz tego roztoczono lepszą opiekę nad chorymi, a do baraków wstawiono duże beczki z wodą do picia, w której mokły gałązki brzozy oraz czubki gałązek jodłowych tzw. „łapki”, zawierające dużo olejków eterycznych. Były to zatem swoistego rodzaju witaminy.

Któregoś dnia po świętach przyniesiono do baraków gazetę, z której dowiedzieliśmy się o dawno zakończonej wojnie, całkowitej klęsce Niemiec i o ułożeniu przyjacielskich stosunków polsko-radzieckich. Nadal jednak nic nie wiedzieliśmy co będzie dalej z nami. Jeszcze przez czas jakiś żyliśmy w niepewności i zdenerwowaniu. Będąc bowiem z nazwy „internowani” i obrzucani przez

długi czas przydomkiem „polskie faszysty”, nie wiedzieliśmy czy nowe władze polskie będą się chciały o nas upomnieć. Jednak w końcu stycznia różne „znaki na niebie i ziemi” pozwalały przypuszczać, że coś się zaczyna dziać.

Przyjechali jacyś ludzie. Wzywano nas na przesłuchanie, spisywano listy i przenoszono z baraku do baraku. Jednocześnie zaczęto kontrolować stan naszej odzieży i podobnie jak przed wyjazdem z Borowicz wymieniano zużyte części garderoby. Oficjalnie nic nam nie zakomunikowano. Ten swoisty klimat niepewności i zakłamania był nie do zniesienia.

Wreszcie w pierwszych dniach lutego, jak zwykle nocą, obudzono dwa baraki. Ludzi wprowadzono na plac apelowy i tyle ich widzieliśmy. Nikt też nam nie powiedział dokąd oni poszli. Oprócz nieoficjalnych przecieków od pilnujących nas żołnierzy — nie było żadnego komunikatu. Praca w fabryce stanęła.

Po tygodniu, w godzinę po wieczornym apelu, jak się okazało ostatnim obudzono nas, ustawiono na placu, policzono i poprowadzono w nieznaną. Stało już południe, kiedy przekroczyliśmy jakiś tor kolejowy i idąc wzdłuż niego doszliśmy do małej stacyjki, gdzie stał długi skład wagonów towarowych.

Już sam sposób w jaki ustawiono nas przy wagonach liczone i kazano wsiadać, świadczył o tym, że jedziemy do Polski. „W Polszu, w Polszu” odzywali się konwojenci i rubasznie nas popychali do wagonów.

Wagony nie były zamykane, gdyż dobrze wiadano, że żadnemu z nas nie przyjdzie do głowy uciekać z wagonu wiozącego do Polski. Byliśmy jednak przerażeni warunkami podróży. Wagony nie posiadały prycz, a podłoga pokryta była nawianym śniegiem. Trwała bowiem zima i to mroźna.

Wynieśliśmy śnieg i ogrzewaliśmy się narazie nadzieją, że już chyba kończy się nasza niedola. Nietrudno więc będzie pocierpieć jeszcze trochę w drodze.

Późnym wieczorem przed odjazdem pociągu dostaliśmy po pełnym kubku na wagon gorącej kawy na gęsto, co nas solidnie rozgrzało i poprawiło humory. W nocy pociąg ruszył. Spaliśmy jak kto mógł, tuląc się jeden do drugiego. Jechaliśmy tak, karmieni codziennie kaszą owsianą przez 10 dni. Wreszcie przyjechaliśmy do Mińska, gdzie pociąg stał cały dzień. Koło wagonów chodziło dwóch konwojentów, ale wagony nasze były otwarte i pozwalano nam wychodzić.

Pamiętam jak z moim dobrym znajomym, jeszcze z Borowicza poszliśmy się przejść po okolicy. W pobliżu było kilka małych domków. Spotkaliśmy kolejarza, który domyślił się, że jesteśmy Polakami z transportu. Był to Polak pracujący tu na kolej i mieszkający nie opodal. Zaprosił nas do siebie. Żona jego poczęstowała nas kubkiem mleka i chleba ze słoniną. Jakże to był cudowny smak mleka, którego nie mieliśmy w ustach prawie przez 2 lata.

Dowiedzieliśmy się od nich coś niecoś o wydarzeniach na świecie i w Polsce. Kolejarz powiedział nam, że od pewnego czasu jadą transporty Polaków i że w Białej Podlaskiej przejmują je władze polskie.

Jechaliśmy jeszcze 4 dni, często stojąc po kilka godzin na kolejowych bocznicach. Gdy pociąg stał i siedzieliśmy nieruchomo dawały się nam we znaki wszy. Ale gdy tylko ruszał udzielające się nam wstrząsy powodowały, że nie wyczuwało się maszerujących po ciele insektów i można było spać.

Gdy pociąg przybył wieczorem do Białej Podlaskiej i zatrzymał się na bocznym torze — byliśmy już u celu. Po peronie spacerowali jeszcze uzbrojeni konwojenci sowieccy, ale zagadywali do nas polscy kolejarze i po jakimś czasie na peronie zaroilo się od osób cywilnych, które serdecznie nas witały. Wzruszające było jak obce kobiety, dzieci i mężczyźni podchodzili do otwartych drzwi wagonów, zagadywali do nas, a także częstowali nas jadłem. Wciskano nam do rąk kanapkę z kiełbasą i słoniną, jaja na twardo i inne specjały. Niektóre

kobiety miały ze sobą bańki z mlekiem i białą kawą, podając je w kubkach.

Sowieci nie bronili tego kontaktu z cywilami, pilnując tylko, aby nikt z wagonów nie wychodził. Ja spałaszowałem tęą kanapkę z kiełbasą lecz nie jadłem więcej, zdając sobie sprawę, że zjedzenie większej ilości wysoko kalorycznych potraw może poważnie zaszkodzić. Przestrzegałem także najbliższe otoczenie, lecz z rozmałym skutkiem. Niektórzy bez opamiętania pożerali słoninę, jaja, masło itp. Na efekty nie należało długo czekać, bo tejże nocy, którą spędzaliśmy jeszcze w wagonach, zaczął się zaczął straszne rzeczy. Jak się okazało rano, w całym transporcie były 8 wypadki śmiertelne.

Rano przybył na stację oddział polskiego wojska z oficerem. Dość długo prowadzono rozmowy z sowietami i liczono nas w wagonach. Później wprowadzono cały transport na duży plac za stacją, ustawiono w czworobok i odczytano krótki apel. Powiedziano nam, że władze PRL puszczają w niepamięć dawne nasze przewiny. Nie były to słowa, które mogły pokrzepić po przebytej gehennie, kiedy prawie przez dwa lata płaciliśmy zdrowiem za domniemane winy. Będziemy przez 2 dni skoszrowani w Białej Podlaskiej, potem dostaniemy dokumenty i odjedziemy swobodnie do swoich domów.

Pomaszerowaliśmy zatem za miasto do baraków, gdzie od razu rozpoczęto strzyżenie i fotografowanie. Ponieważ wolno nam było chodzić po mieście, po załatwieniu nakazanych czynności postanowiłem odszukać mieszkających w Białej pp. Tolłoczko (mego wuja z siostrzenicą). Nie wiedziałem wprawdzie czy nadal tu mieszkają, ale postanowiłem spróbować.

Gdy zastukałem do drzwi wyszedł sam wuj i nie poznawszy mnie, spytał czego potrzebuję. Dopiero gdy przemówiłem, poznano mnie, przybiegła Wanda i prosili mnie do domu. Ja jednak nie chciałem wejść, krępując się swego wyglądu i stanu ubrania pełnego insektów. Poproszono mnie zatem do kuchni, a że była pora obiadowa posadzono przy stole.

(cdn.)

SPÓŹNIONA WOLNOŚĆ

Aleksy Hempel

Przeżyciem było dla mnie siedzenie przy stole nakrytym obłędem sztuce, talerze, szklanka i t.p. To wszystko było wspomnieniem przez 2 lata. Dowiedziałem się wtedy od wujostwa o nowych warunkach życia w Polsce, o sytuacji politycznej, a także że mój brat Kazik zginął w Powstaniu Warszawskim.

Na drugi dzień otrzymaliśmy od władz UB dokumenty z fotografią, w których było napisane, że obywatel taki a taki wraca z terenów ZSRR i udaje się do miejsca zamieszkania, tam a tam. Do dokumentu dołączony był bilet kolejowy do odpowiedniej stacji PKP.

Po obiedzie, wychodząc z baraku, wpadłem w objęcia mojej Matki, która dowiedziawszy się o przybyciu transportu przyjechała sprawdzić czy mnie w nim nie ma. Trudno tu opisać nasze powitanie, kiedy to lzy matczyne mieszały się z moimi.

Z Białej Podlaskiej udaliśmy się z matką do Łukowa. Zatrzymaliśmy się u doktorstwa Kiernickich. Tam zostałem poddany szczegółowym badaniom. Diagnoza doktora była następująca: organizm mimo zaawansowanej dystrofii, obronił się dzielnie zachowując pełną sprawność serca, płuc i układu trawiennego. Zniszczone zostało natomiast uzębienie (szkorbut), a także osłabione niektóre zmysły głównie wzrok i słuch. Zresztą jak powiedział doktor za wcześnie jest oceniać dzisiaj skutki jakie mogło wywołać długotrwałe niedożywienie w czasie wytężonej pracy fizycznej. Ilustracją takiej diagnozy jest utrata wagi ciała — z 80 kg w czasie aresztowania do 48 kg, jak wykazała waga w gabinecie doktora. Nazajutrz po pierwszej nocy spędzonej w prawdziwym łóżku i pościeli wyjechaliśmy kołmi do Tuchowicza, który powitał mnie po 497 dniach nieobecności.

Była to niedziela 3 marca 1946 roku.

POSŁOWIE

Po rekonwalescencji trwającej 6 miesięcy przystąpiłem do pracy. Przez cały okres pracy zawodowej ukrywać musiałem pobyt w obozie internowanych na terenie ZSRR, aby nie narazić się na przykre konsekwencje i szykany. Była to „biała plama” w moich aktach personalnych.



Drukowane przez nas wspomnienia Aleksiego Hempla ukażą się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego w pracy zbiorowej pt. „Internowani — wspomnienia żołnierzy AK wywiezionych do obozów na terenie ZSRR w latach 1944—1947”.



Tych, co przeżyli swoją wojenną tułaczkę polskie dziewczęta witały z kwiatami.

Fot.: CAF